

Fascynował rozległością zainteresowań, szokował sposobem bycia. Przyjaciele wspominają go jako wielkiego eksperymentatora i prekursora. Pozostawił po sobie kilkaset wierszy, sztuk i przedstawień, choć najbardziej znane są teksty jego piosenek. Żadne z tych utworów nie zostały jednak nigdy wydane w formie zbioru czy nawet tomiku. Dziś zapomniany, trochę w cieniu pozostałych założycieli słynnego Teatru na Tarczyńskiej: Mirona Białoszewskiego i Lecha Emfazego Stefańskiego. Po rozpadzie TnT napisał teksty do kilku przedstawień Klubu Stodoła – w tym legendarnego „Króla Ubu”, był szefem artystycznym jednej z najlepszych grup bluesowych w Polsce – Gramine, ale i fotografikiem, rysownikiem, malarzem, znawcą przyrody.

Bogusław Choiński, przez znajomych nazywany Bogusiem, urodził się w Warszawie 19 lutego 1925 r. Gdy miał 11 lat, rodzice przeprowadzili się do domu w podwarszawskiej Zielonce. Uczęszczał do jednej z najstarszych szkół średnich stolicy – Liceum im. Władysława IV na warszawskiej Pradze. Maturę zdał w czasie okupacji na tajnych kompletach w Technikum Drzewiarskim. W styczniu 1945 r. został wcielony do 3. Pomorskiej Dywizji Piechoty, z którą dotarł aż do Berlina. Z wojny wrócił z maszyną do pisania. To na niej napisał niemal wszystkie swoje wiersze, piosenki, sztuki; a nawet przepisywał teksty kolegów. „Boguś pomagał konkurencji. Jako jedyny w swoim gronie posiadacz maszyny do pisania przepisywał wiersze Mironowi [Białoszewskiemu – red.], a Swenowi [Czachorowskiemu – red.] – jego długie poematy” – zapamiętała Teresa Choińska, pierwsza żona poety.

Wiele osób wybaczało mu jego czasami chimeryczne zachowania jako geniuszowi w każdym wymiarze: literatury, poezji, wiedzy, którą posiadał. Czytał wszystko, co mu w ręce wpadło; raz przeczytał i pamiętał. – Czegokolwiek człowiek nie ruszył – to on wszystko wiedział. Miał świetną pamięć i potrafił to ująć w bardzo zgrabne strofy poetyckie – mówi „Plusowi Minusowi” Tomasz Bielski, współautor tekstów z Choińskim, pisanych w latach 70. – Był także geniuszem, jeżeli chodzi o różnego rodzaju preparaty, które miały służyć poszerzaniu świadomości w dobrej sprawie – dodaje.

Profesor Wszędobyłski

Zanim Choiński został tekściarzem, autorem sztuk, które nie schodziły z afisza warszawskiej Stodoły – rozpoczął karierę jako dziennikarz.

Zaraz po wojnie publikował teksty – obok Mirona Białoszewskiego czy Jana Gałkowskiego (jednego ze swoich późniejszych współpracowników) – w „Akademiku”, periodyku wydawanym nieregularnie przez studentów Uniwersytetu Warszawskiego. Następnie trafił do „Świata Młodych”, gdzie już w pierwszym numerze z 7 lutego 1949 roku znajduje jego tekst „Głosy w dżungli” o mądrości murzyńskiego plemienia Aszantów, z ilustracjami Henryka Chmielewskiego (przyszłego Papcia Chmiela). Początkowo 24-letni Choiński zajmował się pisaniem reportaży: z Żelazowej Woli z okazji roku chopinowskiego, o wojennych sierotach znajdujących swe miejsce w młodzieżowej rolnej spółdzielni produkcyjnej w Szychowicach, o trasie W-Z. Dość szybko odnajduje się jednak na łamach młodzieżowego tygodnika – tworząc swoje alter ego. Kolejny tekst o wytopie stał w piecu martenowskim opatrzone tytułem: „Co profesor Wścibinos widział przez kobaltową szybkę”. W ten sposób udaje mu się połączyć swoje zamiłowanie do lasu i przyrody z pisaniem. Powstają teksty o wiosennej równonocy, o ptakach, o zwalczaniu szeliniaka (chrząszcz) w lasach iglastych, o tym, że każdy może być wynalazcą. Choiński zostaje kierownikiem działu naukowego „Świata Młodych”, a koledzy redakcyjni tytułują go: profesor Wszędobyłski.

W tym okresie w „Świecie Młodych” publikują również: Miron Białoszewski, Wanda Chotomska, Janusz Przymanowski, Jerzy Janicki, Igor Newerly, Janusz Domagalik, a nawet Julian Tuwim. Chotomska wspominała Choińskiego jako eksperymentatora i prekursora, który przynosił do redakcji różne stworzenia, jak choćby ślimaki czy szczeżuje. Po redakcyjnych papierach chodziły ponoć winniczki, które miały stać się z początku przyszłej hodowli przeznaczonej na eksport do Francji. Miał wiele pomysłów kulinarnych, którymi można by zapłacić niejedną książkę kucharską. Jego siostra Barbara Mościcka przyznaje, że miał talent do gotowania i potrafił przygotować smakowite danie, gdy

ALEKSANDRA BIAŁY

Jego piosenki wykonywali Niemen, Santor i Stanek, tworzył awangardowy teatr z Białoszewskim, był erudytą i prowokatorem. Za życia Bogusław Choiński był niemal legendą, dziś zupełnie zapomnianą.

OD CZYSTEJ FORMY W SINĄ DAL

nic nie było w domu. Przyrządzał też sporo potraw z grzybów, na których świetnie się znał.

Z początkiem lat 50. „Świat Młodych” radykalizuje się. Pojawia się w nim coraz więcej tekstów propagandowych, m.in. o tym „Jak radzieccy ludzie zmieniają wieś” czy o akcji zbierania pieniędzy w szkołach – dla walczącej Korei. Ostatecznie Choiński odchodzi z tygodnika.

Posmak awangardy

Porozstaniu ze „Światem Młodych” nie podejmuje pracy o stałych dochodach. Ma jednak mnóstwo energii twórczej. Wspólnie z Lechem Emfazym Stefańskim rozpoczynają pisanie libretta opery alchemicznej do muzyki Stanisława Prószyńskiego. Stefański zapamiętał Choińskiego jako entuzjastę sztuki abstrakcyjnej, poszukującego czystej formy. Czasami złościł się: „Cholera jasna, że też człowiek cokolwiek powie, to zawsze musi coś znaczyć. Żeby można było tak powiedzieć, żeby nic nie znaczyło, żeby było tylko czystą formą, żeby było grą, ruchem formy, jak utwór muzyczny”.

Znajomość ze Stefańskim i Białoszewskim prowadzi do powstania w 1955 r. eksperymentalnego Teatru na Tarczyńskiej. Sztuki są grane w prywatnym mieszkaniu Stefańskiego. Bywają tu Jan Kott, Julian Przyboś czy Artur Sandauer.

Na otwarcie TnT każdy z założycieli miał przygotować własną jednoaktówkę. Wystawione zostały tylko dwie: „Wiwisekcja” Mirona Białoszewskiego i „Homunculus” Lecha Emfazego Stefańskiego. Według tego ostatniego „Boguś poprawiał, przerabiał, wahał się, aż w końcu wycofał się”.

Później jednak wystawione zostały jego trzy sztuki. Były to: „Ściana”, „Legenda o czerwonej branie” i „Kolacja”. Tworzyły zamkniętą całość. – Wieczór Choińskiego skomponowany był niezwykle starannie według reguły architektury formy muzycznej – mówi „Plusowi Minusowi” Maria Fabicka-Choińska, druga żona poety. – Były to trzy kontrastujące ze sobą części: poważna, refleksyjna „Ściana”, szalenie liryczna z weberowskimi pauzami w warstwie dźwiękowej „Legenda” i groteskowa, przelatująca w huk i łomocie „Kolacja”. Choiński, tak jak i inni twórcy Teatru, grał nie tylko we własnych sztukach (zawsze partnerowała mu Maria Fabicka, a występowali także Miron Białoszewski i Lech Emfazy Stefański), ale także w sztukach innych twórców Teatru – np. Bohatera, w pierwszej obsadzie aktorskiej „Szarej mszy” Mirona Białoszewskiego.

Atmosferę Teatru, który w tym czasie stał się miejscem modnym i był oblegany przez publiczność, obok portretów Witkacego, tworzyły również plakaty do sztuk Bogusława jego autorstwa. Plakatem „Kolacji” była płaska gabłota z kalkitowym psem (czyli bryłą kalkytu naturalnie uformowaną w kształt psiej głowy) i ze skamieniałą kością renifera. Z kolei plakatem „Ściany” były skorupki garnka rozpięte na białych drutach.

Teatr na Tarczyńskiej – po kilku latach niebywale popularności – rozpada się w 1958 roku, a każdy z jego twórców idzie dalej już własną drogą. Białoszewski zakłada Teatr Osobny, a Choiński trafia wkrótce do warszawskiego Klubu Stodoła.

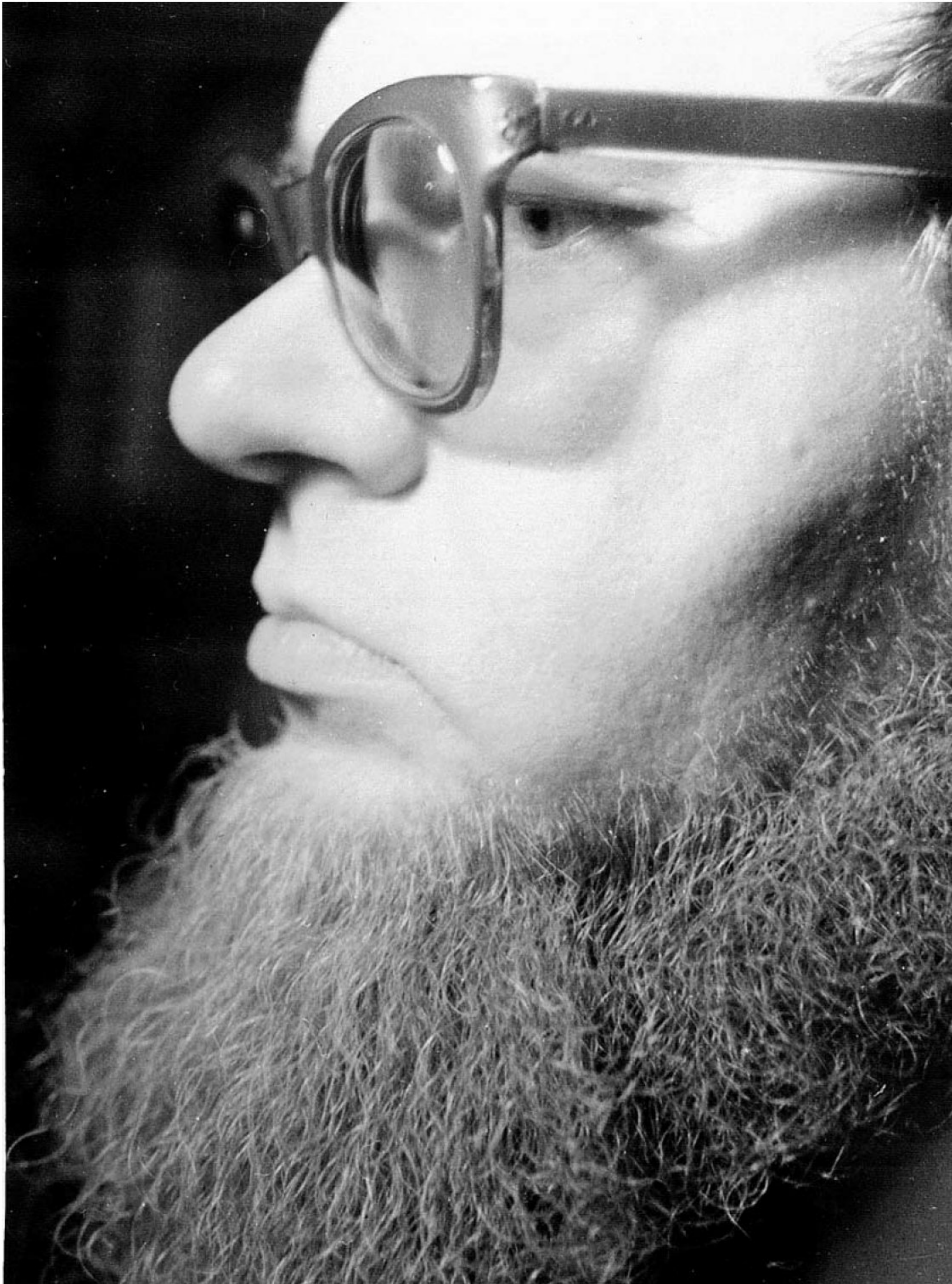
Łyk groteski

Zo rok młodszym Janem Gałkowskim prawdopodobnie poznali się zaraz po wojnie – pisząc jeszcze teksty do „Akademika”. Gdy na przełomie 1958/1959 roku pojawiają się w Klubie Stodoła – są już znaną parą autorską. Maria Choińska, druga żona poety, opowiadała mi, że swoje piosenki pisali w stróżówce, wynajętej na rogu Rozbrat i Fabrycznej, zwanej „kanciapą”. W małym pomieszczeniu mieścił się: stolik, leżanka, krzesło i piecyk – typu koza. To tu powstała zmysłowa „Alabama”, śpiewana przez Ludmiłę Jakubczak; jak również: „Pod Papugami”, „Na Francuskiej” czy „W siną dal” – piosenki które przyniosły popularność Czesławowi Niemenowi, Irenie Santor, Bohdanowi Łazuze czy Idzie Cembrzyńskiej.

Pisali dużo i szybko, ale lubili też płać figle. Według Jana Tadeusza Stanisławskiego, gdy ktoś poprosił ich o napisanie tekstu do wypieszczonej kompozycji, o romantycznym tytule „Latający motyl” – owszem, napisali o... psie, który wabił się Motyl. Podobnie też było ze słynną „Alabamą”, która zamówiona została ponoć jako... kołysanka. A Choiński z Gałkowskim napisali tekst o Noemi, której „słodczy diabeł miesza pyskiem/okręca ogon u jej stóp”.

W tamtym czasie kierownik artystyczny i współzałożyciel Stodoły Jan Biczyski, szukając nowej formuły na klub, sięgnął po tekst Alfreda Jarry’ego „Król Ubu, czyli Polacy” (surrealistyczna sztuka z 1888 roku, w której gburowaty król Aragonii, za namową żony, przejmując władzę w Polsce). Zaproponował Choińskiemu i Gałkowskiemu, żeby dopisali piosenki, które byłyby współczesnym komentarzem do takiego widzenia historii. Obaj zgodzili się bardzo szybko. Powstała luźna parafraza oryginalnego tekstu pod tytułem „Król Ubu – fantazja skandaliczna na temat Alfreda Jarry” – zachowane zostały tylko pierwszoplanowe postacie i ich charakter; dopisane natomiast – nie tylko piosenki-songi, ale też całość osadzono we współczesnych realiach. Scenografię zaprojektowali Hanna i Gabriel Rechowiczowie, muzykę skomponował Stanisław Prószyński. Ubicę zagrała Krystyna Chimanienko, króla Ubu – Krzysztof Świętochowski.

Sukces spektaklu – łączącego absurdalną groteskę z kabaretem politycznym – przeszedł najśmielsze oczekiwania, otrzymał entuzjastyczne recenzje i wiele nagród, m.in. nagrodę „Szpilek”. Grany był niezliczoną ilość razy w Warszawie, a także i w całej Polsce. Niektórzy przychodzili na niego po kilka razy. Profesor Jan Kott pisał w „Przeglądzie Kulturalnym”: „Ten nowy »Król Ubu« rozrósł się do satyry na całą historię narodową, od chrztu Polski do Października. Nie oszczędza żadnego z kompleksów, żadnej z relikwii narodowych...”.



„Cholera jasna, że też człowiek cokolwiek powie, to zawsze musi coś znaczyć. Żeby można było tak powiedzieć, żeby nic nie znaczyło, żeby było tylko czystą formą, żeby było grą, ruchem formy, jak utwór muzyczny” – marzyło się Choińskiemu (na zdjęciu)

Kolejne przedstawienie tych samych autorów – eksperymentalna opera – „Album Chagalla, czyli jak samochód przestraszył się konia” nie powtórzyło już tego sukcesu.

Żadnego dziadostwa

Spółka Choiński-Gałkowski rozpadła się po kilku latach. – Gdy formuła ich współpracy się wyczerpała, każdy poszedł w swoją stronę – mówi Maria Choińska. W połowie lat 60. Bogusław rozpoczyna pisanie z młodszym o 11 lat Markiem Dagnanem. Poznali się w Klubie Stodoła, gdzie Dagnan był wcześniej kierownikiem literackim kabaretu. „Bardzo byłem przejęty twórczością Choińskiego” – opowiadał Marek Dagnan w Bibliotece Polskiej Piosenki. – „Te piosenki, które są podpisane naszymi nazwiskami, są »bardziej« Bogusława, ponieważ on był szefem w spółce. Można powiedzieć, że u niego terminowałem, choć wcześniej pisałem już samodzielnie”.

Wspólnie napisali m.in. takie przeboje jak „Słodkie fijołki” (wykonane przez Sławę Przybylską) czy „Drzewa ruszają w drogę” (które zaśpiewał zespół Homo

Homini). W „Fijołkach” uwidoczniło się całe zainteresowanie Choińskiego botaniką – tekst tej piosenki pełen jest nazw roślin znanych tylko wytrwałym czytelnikom zielników.

Co ciekawe, według Ryszarda Wolańskiego, autora Biblioteki Polskiej Piosenki, Sława Przybylska nagrała tę piosenkę w radiu, ale nie chciała jej śpiewać publicznie. Tłumaczyła, że o ile wszyscy pamiętają refren „Słodkie fijołki, słodsze niż wszystkie róże”, to jak spać ten jaskier kosmaty, szczyrk czy żankiel? Bała się pomylić, śpiewając na żywo, bo to dopiero byłaby wpadka.

Współpraca Choiński-Dagnan trwała do początku lat 70. – Marek miał dość skomplikowane życie rodzinne, gdyż urodziło mu się niepełnosprawne dziecko i chyba lepiej pisało mu się samemu. Z kolei Bogusław musiał mieć towarzystwo – opowiadała Maria Choińska.

Z Tomaszem Bielskim poznali się w dość spektakularny sposób. Po sukcesie musicalu „Western Country” Tomasz Bielski wystartował z jego drugą częścią do konkursu studenckich teatrów muzycznych w Stodole. Szefem jury był Wojciech Młynarski, który przyznał musicalowi... nagrodę wielkiego knota. – Nie bardzo mnie to wzruszyło. Uznałem, że pan Młynarski po prostu nie zna się na niektórych rzeczach. I znalazło to natychmiastowe potwierdzenie w postaci pana z brodą,

w okularach, ostrzyżonego na króciutki jeża, który podszedł do mnie i przedstawił się: „Bogusław Choiński jestem”. To już wtedy była legenda – wspomina pan Tomasz.

Choiński był wtedy wielkim miłośnikiem spirituals, gospel, bluesa i miał dużo taśm szpulowych z tą muzyką. – Nie wiadomo, skąd miał nagrania, ale tę muzykę czuł i wiedział, że za nią kryje się olbrzymi potencjał – mówi Bielski, który rzucił wtedy pomysł, żeby napisać sztukę muzyczną. I tak powstała Grupa Bluesowa Stodoła (później Gramine), której pierwszym widowiskiem były „Bluselka” – czyli teksty spółki autorskiej Choiński-Bielski, do muzyki spirituals i gospel. W pierwszym składzie zespołu występowali: Ewa Bem, Halina Szemplińska oraz Andrzej Tenard – jako trójka wokalistów. Kierownikiem muzycznym zespołu był zaś Władysław Dobrowolski, genialny trębacz samouk.

Pierwszy oficjalny koncert grupy odbył się na Jazz Jamboree, po którym w czasopiśmie „Jazz Forum” ukazała się fantastyczna recenzja, a grupa określona została jako „jazz, rock i dynamit”. Kostiumy zespołu przygotowali plastycy Hanna i Gabriel Rechowiczowie. Do dziś nagrana wtedy płyta „Bluselka” uwodzi i pokazuje, że polskie teksty mogą brzmieć w muzyce gospel nie gorzej od angielskich.

Jak wyglądało wspólne pisanie? Spotykali się codziennie wieczorem w mieszkaniu Bogusia na Wiktorskiej 6 i pracowali do drugiej, trzeciej nad ranem. – Od strony umysłowej to była ciężka orka, bo Bogusław nie przepuszczał żadnego dziadostwa. Mimo to – to była jednak zabawa i mieliśmy poczucie, że tworzymy coś niepowtarzalnego – wspomina Tomasz Bielski. Zazwyczaj pisali do muzyki, co w praktyce oznaczało wielokrotne odsłuchiwanie – fragment po fragmencie – muzyki, do której tworzyli tekst. Rzucali pomysłami, skojarzeniami, aż w końcu pojawiał się ten jedyny fragment, który pasował do muzyki, tak jak im to opowiadało.

Choiński miał w zanadrzu tysiące historii, które nadawały się na wiersz, sztukę, spektakl czy piosenkę. Obaj autorzy napisali na przykład program „Osiem koni, albo czterdziestu ludzi, czyli misterium przedśmiertnego zdejmowania maski”. Punktem wyjścia był tu napis na niemieckich wagonach wojskowych z okresu I wojny światowej. Pociągi, które transportowały żołnierzy na front, miały napisy „osiem koni albo czterdziestu ludzi”. Powstało osiem songów o różnych koniach. – Efektem była „choińszczyzna”, czyli coś, co dla normalnego człowieka jest nie do końca zrozumiałe, ale zabawa przy tworzeniu była niezła – mówi z uśmiechem Tomasz Bielski. Premiera tej sztuki odbyła się w warszawskim Klubie Medyk; jednak po trzech czy czterech przedstawieniach spektakl przestał być wystawiany.

Choiński pozostawił wiele niedokończonych prac. Jak mówiła jego żona Maria Fabicka-Choińska, miał tyle zainteresowań, że jedno odciągało go od drugich. Poetka Anna Bernat pamięta też przekazaną jej przez Bogusia filozofię twórczą: „Siej, siej, siej; pisz, pisz, pisz – zawsze to gdzieś upadnie i może wyrośnie”. Z kolei Tomasz Bielski tak podsumowuje nieokiełznaną energię twórczą Choińskiego: – Czasami wydaje mi się, że współautorzy Bogusia, wybitni poeci jak Gałkowski czy Dagnan, czy w końcu ja – mieliśmy rolę ograniczać tę jego fantazję i urealniać, ukierunkowywać ją, żeby to można było na przykład gdzieś sprzedać.

Choiński fascynował się też Jackiem Malczewskim i był wielkim znawcą jego malarstwa. Z Tomaszem Bielskim rozpoczęli prace nad programem „Tygrysia łapa w oknie”, poświęconym malarstwu Malczewskiego. Punktem wyjścia miała tu być historia niespełnionej miłości Malczewskiego do Marii Bałowej i jego obrazy z kuszącymi Chimerami. – Rozpoczęliśmy pisanie, ale już nie zdążyliśmy dokończyć. Powoli spotykaliśmy się też coraz rzadziej... Nastąpiła chwila przerwy i w tym czasie Bogusław odszedł...

Bogusław Choiński zmarł nagle 2 września 1976 roku w swojej pracowni przy ulicy Asfaltowej w Warszawie. Anna Bernat pamięta zdziwienie, zaskoczone twarze znajomych na jego pogrzebie: – Bogusław zmarł tak nagle, a byliśmy przekonani, że posiadał lek na nieśmiertelność. I wtedy na cmentarzu nagle zagrał band ze Stodoły: „When The Saints Go Marching In” Louisa Armstronga... ☹

Pisząc, korzystałam m.in. z książek: „Miron. Wspomnienia o poecie” Hanny Kirchner, „Zezem. O wyższości Świąt Wielkiej Nocy nad Świątami Bożego Narodzenia” Jana Tadeusza Stanisławskiego oraz niepublikowanych wspomnień aktora Andrzeja Stanisława Krajewskiego i wypowiedzi z filmu dokumentalnego „Teatr na Tarczyńskiej” w reżyserii Jerzego Karpińskiego